

TEMAT
TYGODNIA

- 10 Mariusz Janicki, Wiesław Władyka **Smoleńska katastrofa zdewastowała polską politykę**

ROZMOWY
ŻAKOWSKIEGO

- 13 **Bartłomiej Sienkiewicz**, minister spraw wewnętrznych, o specjuszach, podsłuchach i nastrojach Polaków

POLITYKA

- 16 Janina Paradowska **Leszek Miller – wicepremier u Tuska**
18 Grzegorz Rzeczkowski **Nietykalny Adam Struzik**

KRAJ

- 24 Joanna Podgórska **Ojciec – gorszy rodzic**
27 Agnieszka Sowa **Cukrzyca spycha na margines**
30 Rozmowa z psychologką prof. **Małgorzatą Kossowską** o potrzebie poglądów wyrazistych
34 Marcin Kołodziejczyk **Kupił działkę z cmentarzem**
36 Barbara Pietkiewicz **Tata kazirodca**

RYNEK

- 38 Adam Grzeszak **Oburzeni na nc+**
41 Ryszarda Socha **Kto sprowadził trujące ukraińskie odpady**
44 Cezary Kowanda **Bitcoin – waluta na kryzys**

ŚWIAT

- 46 Jędrzej Winiński **KOREA PÓŁNOCNA Pohukiwania młodego satrapy**
49 Roman Frister **BLISKI WSCHÓD Morze Martwe może ożyje**
50 Rozmowa z **Kjetilem Stensvik Østli** o tym, jak działa norweska mafia



10 Smoleńsk – jak krzepnie mit



92 Polska przygoda najbogatszej Polki



86 Wyprawa na 30 mln kroków



100 Sweetaśna muza

HISTORIA

- 52 Marcin Kołodziejczyk **Szymon Ratajzer – bohater z getta**
56 Andrzej Paczkowski **Co Rakowski dopisał w „Dziennikach”**

NAUKA

- 58 Marek Matacz **Myszka już niepotrzebna**
61 **TECHNO ECHO**
62 Rozmowa z socjologiem **Michelem Maffesolim** o nowym społeczeństwie plemiennym
66 Paweł Walewski **Jak pomóc dzieciom z rozszczepem podniebienia**

KULTURA

- 72 Rozmowa z reżyserem „Imagine” **Andrzejem Jakimowskim** o sile wyobraźni
75 KAWIARNIA LITERACKA **Grażyna Plebanek**
76 Justyna Sobolewska **Polacy nie czytają, ale przybywa klubów czytelniczych**
78 Piotr Sarzyński **Architektura muzeów pamięci**
82 Bartek Chaciński **The Flaming Lips – szaleństwo dobrze wymyślone**
85 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

LUDZIE I STYLE

- 86 Artur Domosławski **Zdobywca Pulitzera rusza pieszo śladami ekspansji człowieka**
90 Marcin Piątek **Dariusz Wdowczyk – odbył karę, znów trenuje**
92 Joanna Solska **Zmienne koleje losu Barbary Piaseckiej-Johnson**

NA WŁASNE
OCZY

- 100 Wojciech Markiewicz, fotografie Piotr Małecki **Disco polo podbija stolicę**

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski
• 5 Ludzie i wydarzenia • 68 Afisz
• 96 Passent • 97 Do i od redakcji
• 98 Fusy • 106 Polityka i obyczaj

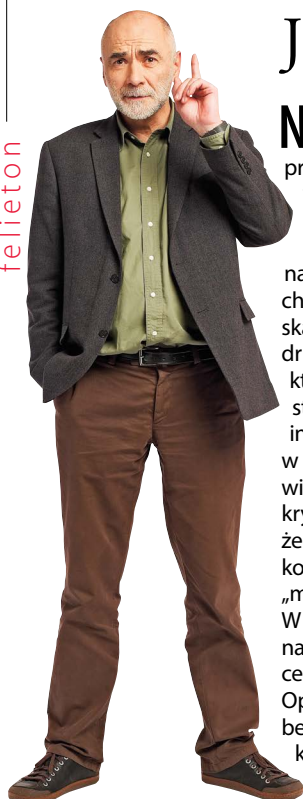


GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

sławomir mizerski z życia sfer

Jak kocha Polak patriota

felieton



Na portalu Fronda.pl Artur Zawisza złożył doniesienie o „prymitywnej próbie kradzieży bohaterów narodowej wyobraźni”. Chodzi o „Zośkę” i „Rudego”, bojowników Szarych Szeregów z powieści „Kamienie na szaniec”, których usiłują przechwycić liberalno-lewicowe środowiska homoseksualne. Rabusiem jest dr Elżbieta Janicka z PAN, w opinii której „Zośka” i „Rudy” „zastygli w postaci zaakceptowanej przez szkolne interpretacje, zakonserwowano ich w martyrologii”. Janicka postanowiła ich odkonserwować i poddać krytycznej analizie, z której wynika, że „Zośka” i „Rudy” mieli ze sobą kontakty cielesne i mogła łączyć ich „miłość nieznająca granic”. W opinii Zawiszy, dr Janicka to „ohydna kłamczyni idąca po grobach harcerzy do pseudoliterackiej kariery”. Opinię tę uzasadnia tym, że miłość bez granic w wersji Janickiej to zwykłe zboczenie, którego prawicowy Polak – patriota i harcerz, nie

mógłby się dopuścić z innym Polakiem – patriotą. Polak patriota, dając do zrozumienia Zawiszy, pewnych granic w miłości nie przekracza, a jeżeli nawet, to na pewno nie od tej strony, od której bezwstydnie sugeruje dr Janicka.

Część krytyków wątpi w sens analitycznych poczyniń Janickiej i przestrzega, że mogą one prowadzić do paranoi. „Gdybyśmy w rozmaitych analizach na siłę doszukiwali się podtekstów, szybko doszlibyśmy do wniosku, że np. Ania z Zielonego Wzgórza i jej koleżanka były lesbijkami” – alarmuje cytowana przez portal NaTemat.pl przewodnicząca Stowarzyszenia Polonistów przy UJ.

Osobiście uważam, że poważne problemy mogą się pojawić także w przypadku czterech pancernych i psa. Mroczne tajemnice czołgu „Rudy” wciąż czekają na swego analityka. Trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, co Janek, Gustlik i Grigorij robili w czołgu, kiedy nie

walczyli z Niemcami, a kamera była wyłączona? Można się oczywiście spodziewać najgorszego, bo przecież chodzi o żołnierzy armii Berlinga oraz towarzyszącego im niemieckiego owczarka.

Zdaniem osób broniących dr Janickiej, ma ona prawo ponownie odczytywać takie książki, jakie chce. Stare odczytania mogą być w końcu niepełne lub po prostu nieaktualne. Świat idzie naprzód, więc naprzód powinno iść także odczytywanie książek, aby było jasne, o co w nich chodzi na obecnym etapie, tu i teraz. Niestety, zdaniem niektórych, dr Janicka swoim odczytaniem „Kamieni na szaniec” wyprzedziła swój czas, który na to odczytanie jeszcze nie nadszedł. Jej przypadek pokazuje, że czasem lepiej jest odczytywać lektury wolniej, a najlepiej w ogóle za dużo nie czytać, zwłaszcza jednej i tej samej książki. I że niekiedy warto odłożyć książkę i pospacerować trochę na świeżym powietrzu.

I naprawdę nie dzieje się nic?

Zdarzają się takie tygodnie, że w polityce ma się bardzo dużo dziać, a potem nie dzieje się prawie nic albo kreatorzy zdarzeń zrobią wszystko, aby swoje zamierzenia ośmieszyć. W Sejmie w minionym tygodniu zapowiadano debaty nad sprawami wcale nie banalnymi. Sprawą najważniejszą nie stał się jednak ani immunitet poselski, ani „suwak” dla kobiet na listach wyborczych, ani reorganizacja sądów czy nawet próba odwołania ministra Nowaka od transportu. Kwestią centralną stał się karaluch, zwany też karaczanem brazylijskim, początkowo przedstawiany jako pluskwa, w dodatku złowiona w pociągu, co miało ministra Nowaka pogrążyć. Karaluch go jednak nie pogrążył, bo – tu nasza wiedza wzbogaciła się niepomniernie – w pociągu nie przeżyje, jest specjalnie hodowany, można go kupić w sklepie. Najważniejsze, że wypełnił wszystkie serwisy informacyjne oraz audycje publicystyczne, poważne i satyryczne. Jak widać, poselskiemu ludowi oraz ludowi medialnemu tęskno za happeningami, do których swego czasu przyzwyczaił Janusz Palikot, ostatnio jakby bez formy. Obie jego formacje, Ruch Palikota i Europa Plus, na razie cienko przędą. Jeśli zliczyć „osiągnięcia” polityków tworzących nową formację, to głównym jest skłócenie par z Kongresu Kobiet. Bardziej zresztą medialne niż rzeczywiste, co w ostatecznym rachunku nie ma znaczenia. Życie medialne traktowane jest przecież jako rzeczywiste.

Jarosław Kaczyński właśnie oznajmił, że gdyby życie medialne było, jak należy, to jego partia „umiarkowanej prawicy” (tak to określił, co być może oznacza jakąś kolejną ewolucję) miałaby 58 proc. poparcia, czyli spełniłoby się marzenie o samodzielnym rządzeniu, może nawet z własną konstytucją. Ten niedostatek być może zostanie naprawiony, gdyż koncesję dostała telewizja Republika: telewizja niepokorna, w pełni ideowo zwarta, oddana PiS, czyli poszukująca wyłącznie prawdy. Próbną nadawanie oczywiście 10 kwietnia, siedziba została poświęcona. Wracając zaś do Kongresu Kobiet i rezygnacji z uczest-

nictwa w nim znaczących jego przedstawicieli, czy o to panom akurat chodziło?

Mają teraz satysfakcję, bo dowiedli, iż polityka w kobiecym wydaniu nie jest wolna od ścierania się ambicji, także politycznych, ideowych sporów czy po prostu zwyczajnych wzajemnych niechęci?

Jednak głosowanie nad odwołaniem ministra transportu pokazało to, o czym w kuluarach mówiło się od pewnego czasu. Janusz Piechociński jako prezes PSL i wicepremier ma problem. Miodowy miesiąc minął i schodów coraz więcej. Złamanie dyscypliny w sejmowym głosowaniu w sprawach personalnych jest zawsze ciężkim przewinieniem koalicyjnym, co rozumie nawet poseł Kłopotek, bywający często w opozycji. Leszek Miller jako premier za takie przewiny, choć w nieco większej skali, ludowców z koalicji po prostu wyrzucił. Wyłamanie się z dyscypliny trzech posłów może świadczyć o niepokojach w ludowych szeregach, o braku autorytetu przywództwa. Tym bardziej za Piechociński jako wicepremier, choć sprawia wrażenie wyjątkowo zapracowanego, zdaje się pracować głównie słowem, a nie decyzjami. Wielogłos ministrów w sprawie ewentualnej budowy drugiej nitki rurociągu jamalskiego, wyraźne zaskoczenie naszego rządu sugestiami prezydenta Putina wskazują, że jednak główne resorty gospodarcze ze sobą nie współpracują – nie są w stanie szybko uzgodnić stanowiska. Do bardziej precyzyjnych wyjaśnień przystępują wówczas, kiedy rzecz ma już wymiar politycznej awantury, której natura z reguły jest taka, że raczej wszystko gmatwa, niż cokolwiek wyjaśnia. Zwłaszcza gdy rzecz dzieje się przed 10 kwietnia, kiedy to natychmiast pod każde zdarzenie podkładany jest wątek smoleński (Rosjanie nas znów rozgrywają!).

Miniony tydzień tak naprawdę był jednak oczekiwaniem na trzecią rocznicę katastrofy, zwłaszcza na obchody organizowane przez PiS, mające być dalszym utrwalaniem



smoleńskiego kłamstwa. Zapowiada to specjalne, prawie uroczyste posiedzenie zespołu Macierewicza,

podobnie jak cały festiwal imprez okolicznościowych organizowanych przez kluby „Gazety Polskiej”. Odpowiedzią rządu jest kolejna zapowiedź stworzenia zespołu Macieja Laska, obecnego przewodniczącego komisji badającej wypadki lotnicze, który ma wyjaśniać wątpliwości związane z raportem komisji Millera. Powołanie takiego zespołu zapowiadano już kilka miesięcy temu i z reguły Maciej Lasek pozostawał sam na placu boju. Dlaczego trzeba było czekać aż tak długo z ostateczną decyzją (o ile to już jest ostateczna decyzja), nikt nie potrafi wyjaśnić. Wydaje się, że dziś klucz nie leży już w zespole Macieja Laska, ale w prokuraturze prowadzącej przedłużane z roku na rok śledztwo. Kiedyś jednak to śledztwo będzie musiało się skończyć, najpewniej umorzeniem, tak jak większość tego typu śledztw, kiedy to organizatorzy wyjazdu i załoga samolotu nie żyją. Do takiej decyzji trzeba jednak w Polsce bardzo dużo odważyć. Lepiej więc zarządzać kolejne badania, podsycając tym samym „wątpliwości”, których w istocie nie ma, niż podejmować decyzje, które przez główną partię opozycyjną i znaczną część opinii publicznej zostaną uznane za narodową zdradę.

To jest scenariusz nieuchronny w warunkach tak ostrego konfliktu, ale niezależna prokuratura, o ile chce budować niezależność, a nie pokazywać koniunkturalną chwiejność, powinna podejmować ostateczne decyzje. Dotychczas w sprawie smoleńskiej właściwie tylko środowisko pilotów i ludzi badających katastrofy zachowuje się jednoznacznie i odważnie, nie bacząc na społeczne i polityczne klimaty. Dziś w modzie jest okazywanie zagubienia lub zwyczajny polityczny koniunkturalizm. Na pytanie – zamach czy katastrofa? – odpowiedź: nie wiem, pada nawet z ust tych, którzy doskonale wiedzą. Czy na wszelki wypadek czekają na te 58 proc. Kaczyńskiego w następnych wyborach?

Domino nie ruszyło

Kandydaci PiS wygrali ostatnio przedterminowe wybory burmistrzów Trzcianki i wójta gminy Padew Narodowa. „Nie ma złudzeń, domino ruszyło, PiS będzie wygrywać” – komentował ów sukces dla Onet.pl poseł Krzysztof Szczerski (PiS). „Platforma idzie siedzieć, PiS przejmie władzę” – pisała „Gazeta Polska Codziennie”. Tymczasem dane Państwowej Komisji Wyborczej o 37 przeprowadzonych w latach 2012–13 przedterminowych wyborach wójtów, burmistrzów i prezydentów nie są dla PiS aż tak optymistyczne. Zdecydowaną większość przedterminowych elekcji wygrali kandydaci Komitetów

Wyborczych Wyborców, którzy w obwieszczeniach wyborczych nie napisali ani o własnej przynależności, ani o poparciu przez jakąkolwiek partię polityczną (co nie musi oznaczać, że takiego nie było). Kandydaci KWW wygrali w 25 wyborach, PO – w 7, PiS – 3 i PSL – 2. Na miejscach drugich też przeważali kandydaci KWW – 24 razy, PO – 5, PiS – 4, PSL – 3 i SLD – 1. W rywalizacji kandydatów partyjnych PO jest więc nadal lepsza od PiS. Zdecydowanie ciekawsze dane o poparciu dla partii otrzymamy po wyznaczeniu na 21 kwietnia wyborach uzupełniających do Senatu w okręgu Rybnik. Z partyjnym namaszczeniem startuje tam pięciu z ośmiu zarejestrowanych kandydatów na senatora. (M.H.)



© PAWEŁ MAMCZARZ/FORUM

Top cena za Top Guna

Miliard złotych wydano w zeszłym roku na szkolenie pilotów **F16**. Z wycenicy Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych wynika, że godzina lotu najnowocześniejszego polskiego myśliwca kosztuje 175 tys. zł. Polska ma 48 tych samolotów. Po zsumowaniu wylatanych godzin, zużytego paliwa i środków bojowych wyszło, że koszt użytkowania jednego F16 w zeszłym roku sięgnął 21 mln zł. – *Robimy, co możemy, żeby te koszty minimalizować. Nim*

pilot wsiądzie do kabiny, każde ćwiczenie powietrzne odbywa najpierw na symulatorze. Ale piloci muszą latać, żeby podnosić swoje wyszkolenie i nie tracić nawyków – mówi ppłk Artur Goławski, rzecznik Dowództwa Sił Powietrznych. Kwoty są tak wysokie, bo w zeszłym roku nastąpiła kumulacja szkoleń. W ramach natowskich zobowiązań więcej polskich pilotów musi mieć status Combat Ready, który uprawnia ich do udziału w ochronie natowskiego nieba. Każdy pilot o tym statusie musi co roku spędzić w samolocie minimum 180 godzin. Siłom Powietrznym zależy również, żeby naszych pilotów szkolili nasi instruktorzy, a ci muszą latać więcej niż zwykły pilot F16. Na razie mamy dziewięciu takich instruktorów.

W ramach dotychczas obowiązującego systemu większość początkujących pilotów wstępne szkolenie odbywa w Stanach Zjednoczonych. Ale tam koszty też rosną. W ciągu ostatnich lat szkolenie w USA jednego pilota co roku drożało o 500 tys. dol. Na szczęście sporą część kosztów w ramach sojuszniczej pomocy brała na siebie strona amerykańska. Ale niebawem będziemy płacić za wszystko.

Koszty można by ograniczyć, gdybyśmy mieli nowoczesne samoloty szkoleniowe. Obecnie używane Iskry mają już ponad 50 lat i nie przydają się pilotom F16. W zeszłym tygodniu, po pięciu latach przygotowań, sprawa wreszcie ruszyła naprzód – wojsko planuje kupić osiem samolotów. Pierwsze maszyny trafią do Polski najwcześniej na przełomie 2015 i 2016 r. Kolejny rok zajmie wprowadzenie ich do użytku. – *Mając te samoloty, będziemy mogli wreszcie pierwsze elementy szkolenia robić na nich. Jest szansa, że obniży to koszty o co najmniej 30 proc. – mówi proszący o anonimowość pilot. (JUL)*

Lot w dwulot

Rząd przyjął projekt ustawy o PLL Lot, tak by możliwa stała się sprzedaż większego pakietu narodowego przewoźnika. Prywatyzacja i przejście kontroli przez zagranicznego inwestora uznawane jest za ostatnią szansę uratowania tego, co jeszcze uratować można: historycznej marki i udziału w polskim rynku przewozów lotniczych. Od 2008 r. Lot przynosi wyłącznie straty, które w sumie przekroczyły już miliard złotych. Dziś utrzymuje się przy życiu dzięki 400 mln zł pożyczki udzielonej przez ministra skarbu. Pieniądże jednak się skończyły i dalsze funkcjonowanie spółki wymaga kolejnych milionów z publicznej kasy. Tego zaś może nie zaakceptować Komisja Europejska.

Premier zapowiedział, że albo minister skarbu zrobi coś z Lotem, albo spółka powinna upaść. Minister Budzanowski obiecuje, że uzdrowi przewoźnika i znajdzie inwestora. Ekspertcy wątpią w powodzenie obu zamiarów. Rynek, na którym toczy się wojna tanich przewoźników i lotniczych gigantów, doprowadził większość tradycyjnych linii w naszym regionie do równie opłakanego stanu. Zbankrutowały lub walczą o życie: węgierski Malev, czeskie CSA, rumuński Tarom, słoweńska Adria, serbski JAT, chorwacka Croatia Airlines, łotewski Air Baltic, estoński Estonian, ukraińskie Aerosvit i Ukrainian International. Nawet włoska Alitalia, która już raz bankrutowała, znów jest na krawędzi upadłości. Tymczasem minister skarbu obiecuje, że Lot stanie się atrakcyjnym towarem dla in-

westorów. Chce przekształcić go w lotniczą dwugłową hybrydę: na europejskich połączeniach będzie tanią linią, a na międzykontynentalnych rejsach, głównie do USA, ma zdobywać klientów komfortem dreamlinersów. To próba naśladowania scenariusza, który uratował irlandzki Aer Lingus. Tyle że sytuacja Irlandii i jej położenie jest inne niż Polski. Lot już raz próbował stworzyć tanią linię (Centralwings) i skończyło się bankructwem. Próba konkurencji Lotu z Ryanaiem, easyJetem czy Wizzaiem wymagać będzie wydania kolejnych setek milionów przy niewielkiej szansie na ich odzyskanie. (A.Grz.)

Jan Koza



© JAN KOZA

44 proc. członków otwartych funduszy emerytalnych nie potrafi ocenić ich

działalności – wynika z najświeższych badań CBOS. Kilka milionów ludzi (do OFE należy 16 mln) nie ma pojęcia, czy dzięki nim ich przyszłe emerytury będą wyższe niż w ZUS, czy może odwrotnie. Pozostali, którzy w sprawie OFE już sobie zdanie wyrobili, są głęboko podzieleni. 35 proc. ankietowanych ocenia OFE źle, 21 – dobrze. Krytyczni wobec lokowania części składek na rynku kapitałowym są Polacy starsi, entuzjastyczni – najmłodsi.

Jaki Jamał tak, jaki Jamał nie?

Adam Grzeszak



komentarz

Jeśli celem prezydenta Władimira Putina było wprowadzenie polskiego rządu w stan konsternacji graniczącej z paniką, to udało się wyśmienicie. Wystarczyło krótkie polecenie wydane Gazpromowi, by zabrał się za sprawę budowy gazociągu Jamał II przez Polskę. Premier Tusk i jego ministrowie byli zaskoczeni, bo nikt ich nie uprzedził. W efekcie powstał chaos informacyjny. Każdy prezentował inne zdanie: minister skarbu był sceptyczny i wyjaśniał, że nie potrzebujemy więcej rosyjskiego gazu, a gazociąg budujemy sami; szef MSZ, że propozycja jest ciekawa, ale on się na rurach nie zna; zaś wicepremier i minister gospodarki, że to bardzo korzystny dla Polski projekt.

Wśród rzeszy zaskoczonych był też Mirosław Dobrut, prezes EuRoPol Gazu, polsko-rosyjskiej spółki, do której należy polski odcinek gazociągu Jamał I i która miałaby budować Jamał II. EuRoPol Gaz jest własnością Gazpromu i PGNiG, polski prezes jest tu jednocześnie ambasadorem ministra skarbu. To prezes Dobrut polecił do Petersburga, gdzie wraz z szefem Gazpromu uroczyste podpisali list intencyjny w sprawie budowy Jamału II. I to było zaskoczeniem, choć według naszych informacji wiadomość o planowanym porozumieniu trafiła do resortu skarbu jeszcze w marcu. Potem zaczęło się tłumaczenie, że list intencyjny nic nie znaczy, że to tak drobna sprawa, że nawet minister skarbu nie musi być o niej informowany. Nawet rada nadzorcza EuRoPol Gazu, w której zasiada prezes PGNiG, o niczym nie wiedziała. W ślad za prezesem Dobrutem ruszył więc do Petersburga wicepremier Piechociński, by dowiedzieć się, o co właściwie chodzi.

Tymczasem chodzi o politykę. Rosjanie wrócili do pomysłu gazowej „piere-myckizki”, czyli łącznika, który poprowadzony od granicy polsko-białoruskiej przez wschodnią Polskę trafi na Słowację, co pozwoliłoby ominąć Ukrainę, z którą mają wciąż kłopoty. Polska już raz odrzuciła taki projekt, powołując się na solidarność z Ukrainą. Efektem naszej odmowy była budowa niemiecko-rosyjskiego gazociągu po dnie Bałtyku, który uznaliśmy za go-

dzący w nasze bezpieczeństwo energetyczne. Próbując blokować bałtycką rurę, domagaliśmy się od Rosjan budowy Jamału II przez Polskę, ale tak jak zapisano to w umowie z 1993 r. – jako równoległej nitki prowadzącej do Niemiec.

W sensie ekonomicznym taki Jamał II nie jest dziś Rosjanom potrzebny. Nie ma w UE takiego zapotrzebowania na gaz. Jednak pośpieszne i jednoznaczne odrzucanie ich propozycji byłoby

błędem. Zgoda, nie potrzebujemy więcej rosyjskiego gazu, liczymy na łupki i Gazoport. Jednak nasze twarde „nie” utrwali w Europie wizerunek Polski jako nieracjonalnego rusofoba, który nie wie, czego chce: raz domaga się budowy Jamału II, a zaraz potem nie chce. Lepiej usiąść do stołu i powiedzieć Gazpromowi, jaki Jamał tak, a jaki Jamał nie. I lepiej by było dla wizerunku Polski, by zamiast polskiego „nie” zabrzmiało rosyjskie „nie”.

REKLAMA

FIRMA

Przenieś Firmę do Plusa

w najlepszej ofercie Bez Limitu!

- rozmowy Bez Limitu do wszystkich sieci komórkowych i stacjonarnych
- nawet do 10 GB internetu LTE do wykorzystania
- elegancki, lśniący i wytrzymały na działanie kurzu i wody smartfon Sony Xperia™ Z od 1 zł



Sony Xperia™ Z
owoc precyzji Sony w smartfonie

Najlepsza oferta Bez Limitu dla Firm dotyczy abonamentów: 125 zł (153,75 zł z VAT), 160 zł (196,80 zł z VAT), 180 zł (221,40 zł z VAT). Szczegóły w regulaminie promocji „Masz smartfon w Bez Limitu dla Firm” na www.plus.pl

LTE™ to zastrzeżony znak towarowy należący do ETSI. Sony, make.believe i Walkman są znakami towarowymi lub zarejestrowanymi znakami towarowymi firmy Sony Corporation. Xperia jest znakiem towarowym lub zastrzeżonym znakiem towarowym firmy Sony Mobile Communications AB. Zdjęcie i treść jedynie do celów ilustracyjnych.



od 1 zł
(1,23 zł z VAT)

www.plus.pl

Kup książkę

Lider technologii LTE

plus



© REUTERS/FORUM

Thatcher z żelaza

Powalona ciężką chorobą, w wieku 87 lat zmarła była premier Wielkiej Brytanii **Margaret Thatcher**. Chorobę sportretowała już aktorka Meryl Streep w głośnym filmie „Żelazna Dama”. W ostatnich latach lady Thatcher nie miała już kontaktu ze światem. Jednak czasy gdy sprawowała rządy (od 1979 do 1990 r.) w Wielkiej Brytanii potwierdzają zasadność tego przydomku. Była pierwszą kobietą

na tym stanowisku i najdłużej urzędującym brytyjskim premierem w XX w. Z żelazną determinacją pani Thatcher złamała strajk potężnego związku zawodowego górników protestujących przeciw zamykaniu nierentownych kopalń. Było to istotne wsparcie pierwszego punktu jej niepisanej ideologii – „thatcheryzmu”, który opierał się na prywatyzacji ogromnej części sektora państwowego w gospodarce (większość kopalń była państwowa). Całe pokolenie młodej klasy średniej twierdziło, że dojdzie pani Thatcher do władzy

zawdzięcza zastrzyk energii i bodziec do robienia kariery.

Mimo dobrej koniunktury (wzrost PKB kraju w pierwszym dziesięcioleciu jej rządów wyniósł ponad 23 proc.), była jednak ostro krytykowana. Zarzucano jej lekceważenie potrzeb społecznych, nieproporcjonalnie większe nakłady na bezpieczeństwo i porządek publiczny niż na oświatę i służbę zdrowia. Elementem jej kariery była wojna o Falklandy, wyspy na południowym Atlantyku, które w 1982 r. zajęła ówczesna junta argentyńska. Nie bacząc na to, że w wojnie może zginąć więcej żołnierzy, niż Falklandy miały mieszkańców, Thatcher nie ustąpiła juncie i wywołała patriotyczną euforię Brytyjczyków zamorską wyprawą i odniesionym zwycięstwem. Polacy mogą ją wspominać ze względu na inny „żelazny” rys charakteru: antykomunizm. Przydomek jej zresztą wziął się z określenia radzieckiego dziennikarza po jej antysowieckim przemówieniu jeszcze jako szefowej opozycji. Pani Thatcher, znajdując bratnią duszę w osobie prezydenta Ronalda Reagana, wsparła program sankcji i moralnego protestu przeciw wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce w 1981 r. A jej słowa, że zamiast Marksa woli Marksa & Spencera, okazały się prorocze.

MAREK OSTROWSKI



© AFP/AST NEWS

Z raju do piekła

Francuzi są naprawdę wstrząśnięci: okazało się, że minister budżetu **Jérôme Cahuzac**, odpowiedzialny nie tylko za ściąganie podatków, ale i za zwalczanie oszustw podatkowych, sam potajemnie przechowywał swoje pieniądze na kontach zagranicznych. Co gorsza, zanim – pod przymusem – ustąpił z rządu, przez cztery miesiące zaprzeczał winie, okłamując tak prezydenta, jak i parlament. Zaraz po jego dymisji wybuchła nowa sensacja, tym razem międzynarodowa. Grupa dziennikarzy śledczych, głównie amerykańskich, zdobyła informacje o rachunkach i transakcjach finansowych z rajów podatkowych. Ta masa danych (objętości 260 gigabajtów, ponad sto razy więcej niż dane z afery Wikileaks) dotyczy tysięcy

klientów ze wszystkich kontynentów, również znanych polityków i biznesmenów, którzy chcieli uniknąć rygorów podatkowych we własnych krajach. Z pewnością odkrywane będą coraz to nowe nazwiska.

Osiągnięcie dziennikarzy śledczych stawia wielu polityków w złym świetle, gdyż od początku światowego kryzysu finansowego, czyli od 2007–08 r. obiecywano, że mechanizmy finansowe będą pod większą kontrolą, a raje podatkowe i inne nadużycia zostaną ukrócone. Ostatnie rewelacje dowodzą, że świat polityczny składał obietnice bez pokrycia. Byłemu ministrowi Jérôme Cahuzacowi nic nie pomoże, że nagle znalazł się w dużo szerszym towarzystwie krętaczy. Francuzi stawiają sobie dziś pytanie, czy prezydent François Hollande przetrwa kryzys całej swej lewicowej formacji, bo przecież doszedł do władzy pod hasłami odbudowy Francji w duchu większej sprawiedliwości, piętnował ostro aktora Gérarda Depardieu, który uciekał z Francji przed podatkami (ale przynajmniej tego nie krył). Część komentatorów uderza w alarmistyczny ton. Piszą, że we Francji zapanowała atmosfera schyłku kadencji. Widać bezsilność władzy publicznej i rozczarowanie obywateli. Pojawiły się też tezy, że lewica – przez 10 ostatnich lat pozostająca w opozycji – nie umie zarządzać państwem, na co mają wskazywać nietrafne wybory personalne, nawet w rządzie.

Ukraiński Salomon?

Prezydent Wiktor Janukowycz ułaskawił byłego szefa MSW w rządzie Julii Tymoszenko, Jurija Łucenkę. Wyroki sądowe ciążące na polityku, skazanym za nadużycie władzy, pozostają jednak w mocy. Były minister nie może więc wystartować w wyborach – ani parlamentarnych, ani prezydenckich. Ułaskawienie byłej premier w podobnym trybie byłoby salomonowym rozwiązaniem dla Janukowicza. Po takim ustępstwie Bruksela musiałaby ratyfikować umowę stowarzyszeniową z Ukrainą. Uwolniona, lecz niezrehabilitowana Tymoszenko nie mogłaby jednak zagrozić głowie państwa w przyszłych wyborach prezydenckich ani nawet znaleźć się w Radzie Najwyższej. Trudno w takich warunkach wyobrazić sobie jej dalszą karierę polityczną.

Jednocześnie uwolnienie byłej premier skomplikowałoby życie opozycji, która straciłaby jednoczący symbol – lidera za kratkami, a zyskała kolejnego lidera na wolności, który w dodatku nie przywykł do dzielenia się władzą. Powrót Julii Tymoszenko mógłby być zatem zwycięstwem Janukowicza.



© REUTERS/FORUM

Cioteczka Peng wychodzi przed szereg

Chińskiej blogosferze przybył ekscytujący temat: kreacje nowej Pierwszej Damy, prezydentowej **Peng Liyuan**, zaprezentowane podczas pierwszej podróży zagranicznej u boku małżonka. Jeśli chodzi o żakiet pokazany w Moskwie, powstał wielki spór, czy to marka Excepcion czy Useless, obie chińskie. Oficjalny (i dumny) komunikat władz miasta Guangzhou w tej sprawie rozstrzygnął spór na rzecz tej pierwszej. Z kolei akcje firmy Dalian Dayang, która uszyła płaszcz pani Peng, skoczyły w ciągu tygodnia o 46 proc. W tym czasie Internet załaziło morze podróbek (wysoko notowana była tu też moskiewska wizytowa torebka do kompletu, na miejscowym eBayu pytano o nią 8 mln razy). Internauci, a zwłaszcza internautki, spierają się, do kogo porównać Pierwszą Damę, którą dotychczas znali z ludowych i patriotycznych pieśni podczas największej telewizyjnej gali w chiński nowy rok. W związku z nową rolą, bezprecedensową według dotychczasowych sztywnych reguł każących milczeć o małżonkach chińskich polityków, widzą teraz w niej drugą Carłę Bruni (bo też piosenkarka), Raisę Gorbaczow (bo też nagle medialnie wyskoczyła przed męża) albo nawet Kate Middleton (bo sympatyczna i celebrytka). Ale najczęściej porównywana jest z Michelle Obamą, bo też Chinom wypada się porównywać już tylko z Ameryką.

Ekspozowanie w mediach pani prezydentowej to świadoma decyzja ocieplania wizerunku prezydenta Xi Jinpinga, który lubi być pokazywany jako swój człowiek, bliski problemom zwykłych ludzi. Z kolei ludowe szaleństwo wokół pani Peng wyraźnie zaskoczyło władze (i pewnie je podzieliło). Xi obiecał stanowczą walkę z korupcją, rozrzutnością i ostentacją, a narodowa debata o fatalizmach prezydentowej zupełnie tu nie pasuje. Na razie, tradycyjnie, ocenzurowano wyszukiwarki internetowe, aby nie prowadziły gawiedzi w te obszary, zablokowano „Pierwszą Damę Xi” i nawet „Cioteczkę Peng”. A później się zobaczy.

Między Koreami

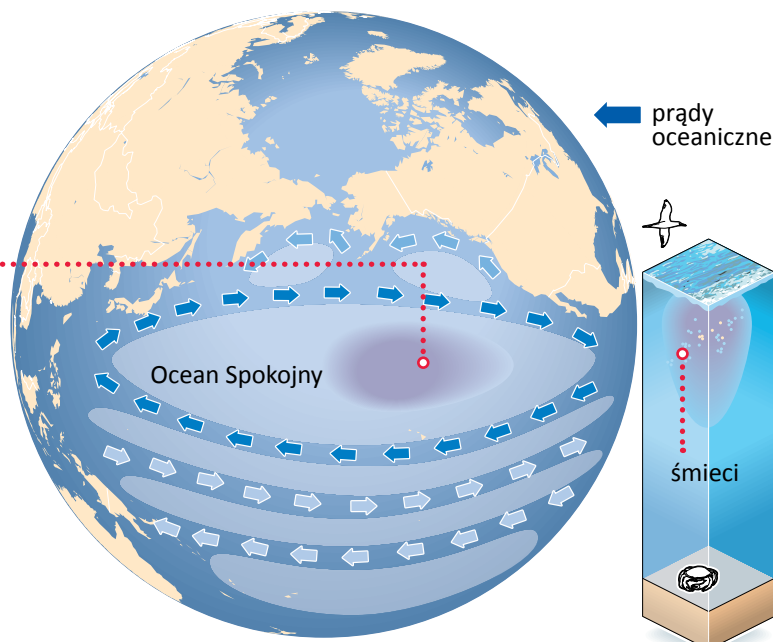
Jeśli Półwysep Koreański jest beczką prochu, to lont do niej znajduje się gdzieś przy 38 równoleżniku. Właśnie tam mogłoby dojść do ewentualnej prowokacji, która uruchomiłaby konflikt zbrojny. Równoleżnik dzieli Półwysep mniej więcej na pół i jako linia podziału brany był pod uwagę już w końcu XIX w., gdy o Koreę rywalizowała Japonia i Rosja. Od 60 lat biegnie tędy najlepiej strzeżona granica świata, która na całej długości jest majstersztykiem współczesnej sztuki fortyfikacyjnej, z bunkrami, schronami, stanowiskami karabinów maszynowych, czołgów i artylerii, tysiącami kilometrów drutów kolczastych i zbiornikami zaporowymi, których woda mogłaby posłużyć do zalania przeciwnika. Dla ścisłości: granice są dwie, a żołnierze obu armii nie mają zbyt wielu okazji do kontaktu. By zmniejszyć prawdopodobieństwo jakiegokolwiek awantury, oddziela ich tzw. strefa demilitaryzowana.

Paradoksalnie ten szeroki na 4 i długi na 250 km pas ziemi niczyjej jest jednym z najwspanialszych rezerwatów przyrody w bardzo gęsto zaludnionym rejonie Azji. Ciągnie się przez lasy, bagna, góry i morskie wybrzeża, i mimo niezliczonej ilości min stał się ostoją wielu zagrożonych gatunków roślin i zwierząt, w tym bardzo rzadkiego żurawia mandżurskiego, od wieków ważnego symbolu Dalekiego Wschodu. Prawdopodobnie w strefie żyją jeszcze lamparty amurskie, których na wolności zostało mniej niż 30 osobników. Zagrożeniem dla nich może być zarówno wojna, jak i trwały pokój, bo nie wiadomo, czy dzika strefa przetrwałaby w zjednoczonej Korei.

O konflikcie koreańskim – s. 46.

Plastikowe państwo

UNESCO 11 kwietnia powołuje do życia nowe „państwo” – dryfującą po światowych oceanach masę śmieci, która waży 100 mln ton i zajmuje powierzchnię równą Australii. Plastikowych wysp na całej Ziemi jest w sumie pięć, a ta dryfująca w północnej części Oceanu Spokojnego jest tak masywna, że powszechnie nazywa się ją **Wielką Pacyficzną Plamą Śmieci**. Tworzą ją prądy oceaniczne, które zbijają w zwartą kupę unoszące się w wodach odpadki, w większości tworzywa sztuczne, które nie ulegają pełnemu rozkładowi, tylko zamieniają się w drobny pył. Wchłaniany przez zwierzęta morskie, zanieczyszcza resztę łańcucha pokarmowego – w zeszłym miesiącu naukowcy ujawnili, że 95 proc. fulmarów zamieszkujących Morze Północne (w Polsce można te ptaki zobaczyć czasem na wybrzeżu bałtyckim) ma plastik w żołądkach. Szacuje się, że takie niestrawne odpadki co roku zabijają 100 tys. ssaków morskich. Nowe „państwo” ma mieć system federacyjny. Flaga będzie w kolorze błękitno-niebieskim, jak oceany, które śmieciowe państwo zanieczyszcza.



© REUTERS/FORUM



Trzy lata za brata

Przez ponad 20 lat swego istnienia III RP przeżyła kilka przełomowych dla społecznej mentalności momentów, ale najważniejszym była tragedia pod Smoleńskiem. Polska polityka jest 97 ofiarą tej katastrofy.

MARIUSZ JANICKI, WIESŁAW WŁADYKA

Nie chodzi o niekwestionowany rozmiar smoleńskiej tragedii, ale o jej dalekosieczne skutki. O to, że podzieliła Polskę głęboko i zdaje się na kilka pokoleń, że zdewastowała jakiegokolwiek nadzieje na zbudowanie integralnej wspólnoty demokratycznej, opartej na aprobowaniu i przyjmowaniu do wiadomości zarówno różnic i odmienności, jak i reguł gry oraz rywalizacji. Polska weszła w stan swoistej wojny domowej, nieprzypominającej w swojej skali i temperaturze wcześniejszych, w tym także tej bezpośrednio poprzedzającej, sygnowanej wyborami w 2005 i 2007 r.

Nie brakuje opinii, że konflikt smoleński wpisuje się w stary podział polskiej kultury i mentalności. A w niej od kilku setek lat zawsze można było wyróżnić kod romantyczny i oświeceniowo-pozytywistyczny, postawy buntu i niezgody obok

ugodowych i ostrożnych. Dzisiejsze podziały mają więc niby odtwarzać te dawne myśli, miłości i idiosynkrazje, są niejako naturalnym dla polskiej historii rozdaniem dwóch głównych ról, które obydwie są narodowi potrzebne do przetrwania.

Oczywiście nie da się wykluczyć, że stare duchy nadal żyją prawem rozpadu w Polsce współczesnej, ba, nawet mają się bardzo dobrze. Zwłaszcza jeśli wsłuchać się w głosy dobiegające z obozu – jak się lubi przedstawiać – powstańczo-romantycznego, w pieśni, wiersze i zawołania dzisiejszych „romantyków”, w modlitwy i groźne słowa bitnych katolików, w kazania ojca Rydzyka i innych hierarchów, w hasła młodych narodowców.

I przede wszystkim w słowa Jarosława Kaczyńskiego, który świadomie pobudził te zastane duchy i odnowił stare podziały historyczne oraz ubrał je w nowe szaty. Trafił zatem w jakąś potrzebę polskiej zbiorowej psychiki. To dalszy ciąg wydajnej strategii PiS, umacniającej przekonanie o ukrzywdzeniu Polaków, jednostek i narodu. Nic to, że tamte, zdawało się zamierzchłe, spory odpowiadały na rzeczywistość wyzwania i ograniczenia historyczne, wśród których nadrzędnym była utrata niepodległości i poddanie życia narodowego opresji zaborczej, a potem okupacyjnej.

Upodobnienie dzisiejszych konfliktów do tych z czasów niewoli, ta specyficzna rekonstrukcja, jest krzywym nadużyciem i uzurpacją. Analogie mają przekonywać, że nadal jesteśmy mniej więcej w tym samym miejscu i położeniu: bez wolności i niepodległości. A Tusk i Komorowski są zaborcami i okupantami, w najlepszym razie kolaborantami. Jeśli nawet nie, to intencjonalnie działają wspólnie z wrogami Polski. I w ogóle chodzi o to, że trzeba walczyć z wrogami; kiedyś oni byli bezpośrednio widoczni i obecni, teraz trzeba ich odnaleźć i zdemaskować. Za pomocą takiej metody i temperatury udaje się zmobilizować obóz patriotyczno-powstańczy, czy w ogóle powołać go do życia i wielkich zadań. Ta opowieść ma swoje wyraźne tezy i postaci.

Tragedia smoleńska odgrywa w niej rolę zasadniczą. Niczym w jakimś scenariuszu romantycznym, smoleńskie symbole i znaki wyrażają „wielkie prawdy”, bo same są niekwestionowane wielkie, układają się w testamenty i zobowiązania dla żyjących. Brat bliźniak ma po bracie przejąć dziedzictwo polityczne i wymierzyć sprawiedliwość. Działają tutaj archetypy nie tylko polityczne, ale i kulturowe, wywiedzione z jakiejś odmiany rodowej solidarności, z figury zemsty i odpłaty. Ale siły tym archetypom dodaje polityka. Znakomita większość rodzin ofiar smoleńskich przeżywała i przeżywa żałobę w milczeniu, jakby

pagodzona z tym, że doszło do tragicznej lotniczej katastrofy. Nawet jeśli wszystkie jej szczegóły nie są – jak w przypadku wielu innych podobnych zdarzeń – do końca jasne.

Nieprzypadkowo to rodziny ofiar związanych z PiS są najbardziej aktywne w atakowaniu rządu. Tak działa polityczna adrenalina, a także być może jakiś rodzaj ideowej lojalności wobec przyjaciół zmarłych bliskich. Można próbować zrozumieć psychologiczny mechanizm stojący za takimi zachowaniami, ale trzeba też mieć na uwadze, że napędza on czysto polityczną grę o władzę. Wprowadza do polityki obcy gen, nadaje jednej stronie sporu wymiar jedynych sprawiedliwych, nie dopuszcza normalnego w demokracji szukania jakiejś ugody, porozumienia, przynajmniej zawieszenia broni. To, co byłoby możliwe bez tego genu moralnej wyższości, z jego udziałem staje się wykluczone. Byłoby „zdradą”. Spór został wyniesiony do poziomu spraw ostatecznych.

Trzy lata, jakie minęły od tego smutnego zdarzenia, są zapisem rozwoju obozu smoleńskiego, nawet jeśli duże jego części nie przyjmują mitologii smoleńskiej w kanonicznej formie.

Wzmoczenie smoleńskie bywa, że na jakiś czas słabnie i jest zastępowane taktiką względnej łagodności. W tym upływającym sezonie miała ona twarz parapremiera Głińskiego. Ale to nader czytelny kamuflaż, bo za chwilę wzmożenie rośnie, tak jak teraz właśnie. Pierwszą przygrywką był spektakl zorganizowany przez posłów PiS i ich gości z „Gazety Polskiej” w komisji do spraw zagranicznych, która przesłuchiwała Tomasza Arabskiego, kandydata na ambasadora w Hiszpanii, wcześniej przez kilka lat szefa Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, także w kwietniu 2010 r. Jest on oskarżany o celowo źle przygotowany wyjazd delegacji polskiej z prezydentem do Katynia.

Po tym spektaklu pomówień i oskarżeń Jarosław Kaczyński w swoim znanym stylu „wiem, ale jasno nie powiem” dał do zrozumienia, że Radosław Sikorski jest nie nasz, znaczy szpieg. Prezes PiS dopisał to do rozbudowanego leksykonu, którym się kilka razy już posłużył, a występują w nim i takie słowa jak „zdrada”, „zbrodnia”, „mord”. Kaczyński zrezygnował też z usług mecenaśa Rafała Rogalskiego, tak ofiarnie od początku reprezentującego prawnie tematykę smoleńską, który ponoć nie był zwolennikiem też Antoniego Macierewicza o dwóch wybuchach w Tupolewie. Ba, zdarzyło się mu pozytywnie wypowiedzieć o jakiejś procedurze zastosowanej przez prokuraturę. Tu nie może przecież pojawić się jakakolwiek wątpliwość i jakikolwiek gest wobec drugiej strony.

REKLAMA

Relaks
w prezencie

SITA.pl
Technika dla języka



ANGIELSKI
ENGLISH

NIEMIECKI
DEUTSCH

FRANCUSKI
FRANÇAIS

HISZPAŃSKI
ESPAÑOL

WŁOSKI
ITALIANO

Wykorzystaj odkrycia naukowe
prof. Roberta Wallace'a, prof. Rainera Dietericha i laureata nagrody Nobla prof. Rogera Sperry w nauce języków.



Urządzenie SITA
Pomaga osiągnąć i utrzymać stan relaksu – optymalny do nauki języka (997 zł).



Kursy językowe SITA
Specjalnie przygotowane podręczniki i nagrania gwarantują najlepsze efekty (279 zł jedna część kursu).

SITA Sp. z o.o., Salon Sprzedaży
ul. Bellottiego 3, 01-022 Warszawa

Oferta na urządzenie + cztery kursy
Oszczędzisz 300 zł

KUP NA WWW LUB TELEFONICZNIE
www.sita.pl **22 636 90 91**

► Ta strategia, aby być skuteczna, musi być całkowicie zamknięta i nieprzemakalna. Argumentów przeciwnych albo się po prostu nie słyszy, albo zaraz wyciąga się kolejne oskarżenie i nową tezę. Jeśli mówi się na przykład, że Arabski faktycznie nie przygotowywał podróży prezydenta do Katynia, bo była za to odpowiedzialna Kancelaria Prezydenta, pada odpowiedź, że nieważne, przecież był facetem od samolotów i w ogóle od bezpieczeństwa podróży dyplomatycznych.

Jeśli mówi się, że przyczyną katastrofy były błędy, niedbalstwo i zaniechania organizatorów lotu, więc może teoria o wybuchu i zamachu jest już niepotrzebna, pada sugestia, że specjalnie źle przygotowano lot, by zamach był łatwiejszy. I tak dalej. Tylko naiwni mogą mieć nadzieję, że z taką mitologią w ogóle da się dyskutować, siadać do stołu i konfrontować ze sobą argumenty. W najlepszym razie pojawia się kuriozalna, ale zyskująca na popularności, teza, że „prawda leży pośrodku”, trochę zamach, trochę katastrofa.

Absurdalność takich dyskusji skłania do niepodjęmowania ich i wyniosłego milczenia. Ale wtedy słychać tylko drugą stronę. Jedna strona chce respektować fakty, a druga nie musi tego robić (wręcz przeciwnie), aby zyskać poklask. W rezultacie jedni dostają metkę sługusów rządu, a drudzy niepokornych rycerzy jasnej strony. Można się z tego śmiać, ale ten śmiech, jak pokazują sondaże, w których coraz więcej Polaków stwierdza, że „nie wiadomo, co się stało” i że zamach jest „niewykluczony”, nie jest politycznie zasadny.

Zwolennicy teorii zamachu udają, że poszukują prawdy, że jej żądają, że prawda w końcu zatriumfuje.

Ale też dają do zrozumienia, że ta prawda jest już znana, trzeba ją tylko „odkryć”, nadać oficjalny wymiar. A to pozwoli na postawienie winnych przed sądem. Katastrofa smoleńska w optyce PiS to swoiste kontinuum. To mógł być zamach. Lub prawie zamach, czyli zbrodnicze zaniedbania wynikające z knucia przeciwko Lechowi Kaczyńskiemu. I dalej stopniując: klęska państwa Platformy, które nie uchroniło prezydenta. Lub – w najłagodniejszej wersji – tchórzliwe oddanie śledztwa Rosji. Jeżeli zatem wątpliwe okaże się jedno ogniwo winy, przechodzimy do następnych.

Brakami logicznymi nikt się nie przejmuje, bo ideologia kieruje się innym porządkiem. Tu nie ma drogi wywikłania, nie ma kompromisu i nie ma litości. Nie istnieje już nic, co mógłby zrobić Tusk, aby swą winę odkupić. Kara jest już przesądzona, tyle że aby ją wymierzyć, trzeba odzyskać władzę i sądy. Siła rzeczowych argumentów maleje także dlatego, że nastąpił zasadniczy podział: wy macie swoich ekspertów, my swoich, na jedne autorytety my mamy inne, profesora na profesora, doktora na doktora, redaktora na redaktora, na komisję – komisję. To szaleństwo ogarnia wszystkie sfery życia, dzieli polityków, naukowców, publicystów, artystów. Nie ma takiego trybunału, którego rozstrzygnięcie byłoby respektowane i kończyło spór.

Nie ma wspólnego stołu do rozmowy, jest ulica i są słowa prezesa oraz wszystkich, którzy dodają swoje, uzupełniające i rozwijające. A jaka jest prawda – Polacy, gdy już wrócą z marszów i manifestacji, mają rozstrzygnąć przy urnach wyborczych. Bo prawda o Smoleńsku ma być ustalona przez głosowanie patriotów popierających PiS. To zwycięzcy zdecydować, co stało się pod Smoleńskiem. Jeśli PiS wygra w 2015 r., to będzie oznaczało, jak chcą ludzie z tej formacji, że prezydent Kaczyński, „najwybitniejszy polski mąż stanu”, zginął w zamachu.

Jest też drugi nurt: oto sprawa smoleńska ma taką moc moralną, że usprawiedliwia przejście władzy także w wyniku insurekcji, w sposób gwałtowny, po zamieszkach, splamieniu się rządu przemocą i przejściu steru przez „gorącą lawę”, czyli żądający prawdy lud. Bo prawda smoleńska, podobnie jak

prawo naturalne, w gruncie rzeczy nie podlega głosowaniu. Demokratyczna procedura jest w jakimś sensie tylko koniecznym złem. Jak mawia ulubiony poeta PiS Jarosław Marek Rymkiewicz, wyłącznie przelana krew daje prawdziwe oczyszczenie. Jak w powstaniu warszawskim. Wszak można było kiedyś przeczytać na prawicowych forach, że polegli w powstaniach i Katyniu to niedoszli wyborcy PiS.

Jeśli jednak koncepcja zamachu, w ten czy inny sposób nie wygra, nie będzie to oznaczało, że przesądzone jest, że to była lotnicza katastrofa. Niestety, nie ma tu symetrii. Zwykła katastrofa nie ma tej siły epickiej co zamach, nie tworzy legendy. Jest „za mała”, aby obsłużyć mitologię tak idealnie wpisującą się w ideologię jednej partii. Jest w tej mitologii wszystko, co nagromadziło się w XIX i XX w.: martyrologia, polegli bohaterowie, zły car i jego namiestnik, knowania, podłość elity i wielkość nieskażonego ludu.

Ten mit jest zbyt politycznie cenny, aby od niego odstąpić, i żadne dowody nie sprawią, że PiS z niego zrezygnuje.

Tu finału nie będzie, chyba że Amerykanie mają nagrane przez kamerę z satelity przebieg wydarzeń i go oficjalnie ujawnią. Tylko takie nagranie, gdzie byłoby uderzenie o brzozę,

oderwanie skrzydła i runięcie samolotu na plecy bez żadnego wybuchu, może byłoby w stanie zmienić przekonanie zwolenników opcji zamachowej.

Ale czy na pewno? Czy nie pojawiłyby się zarzuty, że USA gra swoją grę, że nadal przyjaźnie resetuje się z Rosją, aby załatwiać swoje globalne interesy? Kto by zagwarantował, że nagranie jest autentyczne? Obama? A kimże jest Obama przy panu Antonim?

Można też się zastanawiać, jak w sprawie smoleńskiej wypowiadałby się, gdyby żył, Jan Paweł II, któremu prawica nie śmiała się sprzeciwić. Wydaje się jednak, że nawet

jego werdykt, nie po myśli ludu smoleńskiego, mógłby zostać zakwestionowany, np. gdyby polski papież stwierdził – swoim zwyczajem – że czas wzajemnie sobie przebaczyć i zakończyć spór. Bardzo drażliwa swego czasu kwestia zakonu karmelitanek w pobliżu obozu w Oświęcimiu czy poparcie Jana Pawła dla wstąpienia kraju do Unii Europejskiej zdają się niczym wobec rozplątania węzła smoleńskiego. Te umysłowe ćwiczenia pokazują, w jakim głębokim dole znaleźliśmy się po 10 kwietnia 2010 r., jak dalece sprawy wyrwały się ze sfery racjonalnego oglądu.

Jeśli spojrzeć jednak na sprawy trzeźwo, to tylko partia Kaczyńskiego, także z pomocą swoich akolitów, ożywia smoleński mit. Ludzie wątpią lub sądzą, że wątpią w zwykłą katastrofę za sprawą propagandy tego ugrupowania, choćby nawet nie zdawali sobie z tego sprawy. Dlatego mimo wszystko zawsze warto podkreślać porządek faktów i logiki. Jeśli Tusk teraz mówi, że w sprawie Smoleńska „chcemy prostować kampanię brutalnych bzdur”, to jest w tym demonstracja siły, ale i słabości. Może premier wyczuł, że mimo wszystko, wbrew rozsądkowi i rzeczywistości, przegrywa tę batalię. Że nie docenił destrukcyjnej mocy tych „bzdur”. Mógł uznać, że na brutalność trzeba odpowiedzieć tym samym. Sytuacja jest wciąż labilna, nie wiadomo, jaki nagle czynnik może tu przeważać.

Zwłaszcza że mit trwa tak długo, jak długo mają siły jego animatorzy. I razem z nimi odchodzi. Historia pokazuje, że nawet najsilniejsza emocja w końcu musi opaść. Problem polega na tym, że zanim to nastąpi, ofiarą tej emocji pada wiele naprawdę ważnych dla kraju spraw. Bo istotniejsza staje się dokładna wysokość brzozy, która w dodatku nie ma żadnego znaczenia, bo zła była sama. Świat się właśnie zmienia, a my w chocholim tańcu drepemy wokół rosyjskiego drzewa.

MARIUSZ JANICKI, WIESŁAW WŁADYKA

Brakami logicznymi
nikt się nie przejmuje,
bo ideologia kieruje się
innym porządkiem.
Tu nie ma drogi wywikłania,
nie ma kompromisu
i nie ma litości.

Nie rozbierać się na mrozie

Bartłomiej Sienkiewicz, minister spraw wewnętrznych, o smyczy dla służb, wielkich zmianach i drobnych krokach oraz o nacjonalistycznym katarze

JACEK ŻAKOWSKI: – Lubi pan flaki?

BARTŁOMIEJ SIENKIEWICZ: – Flaki zawsze.

I wszelkie podroby.

Drobiowe?

Wołowe.

Bo?

Bo smaczne.

Smaczne, bo polskie we „flakowo-sienkiewiczowskiej” formule, którą przywołał pan w jednym ze swoich tekstów?

To formuła Miłosa. Nie moja.

Miłosz, pisząc o Polsce flakowo-sienkiewiczowskiej, opisywał nieustanny problem polskich modernizatorów, którzy od oświecenia rozbijali się o swoją formułę trwania poza nowoczesnym światem. PO udało się przełamać ten schemat.

W jakim sensie?

Przesuwając Polskę w stronę nowoczesnej, liberalnej demokracji, Platforma nie wchodzi w konflikt z tradycyjną. Przekroczyliśmy ten podział.

Ja z wychowania, instynktu, emocji jestem flakowo-sienkiewiczowski. A z rozumu, drogi życiowej, wiedzy, kalkulacji – nie.

I walczę ze sobą...

Nie muszę walczyć. Wiem, że świat się zmienia. To, co było cenne w Polsce flakowo-sienkiewiczowskiej, co jest – jak pisał Witkiewicz – elementem niezbędnym do istnienia każdego narodu, rodzaju tożsamości plemiennego, da się wypręparować w ten sposób, żeby odpowiedzieć na wyzwania cywilizacji.

Musimy szukać równowagi między tym, co tworzy naszą plemienną tożsamość, a koniecznością odpowiedzi na wyzwania czasu. Tu nie ma albo-albo. Zwłaszcza że Polska ma tradycję nieodpowiadania na wyzwania modernizacji. Ta skaza w nas tkwi. A ceną było zniknięcie państwa polskiego. Za odwrócenie się plecami do modernizacji, którą przechodziła cała Europa, zapłaciliśmy najwyższą cenę.

Tusk mówi: „Wygrałem wybory nie w imię rewolucji obyczajowej. Naszym zadaniem jest zbliżyć poziom życia i rozwoju cywilizacyjnego do Zachodu”. Jak słucham wywodów o zmianie cywilizacyjnej bez zmiany kulturowej, to mam przed oczyma Iran. Szach zalał kraj betonem, ale nie umiał przeprowadzić zmiany kulturowej. I stworzył Chomeiniego.

Chybione porównanie. Różnica jest fundamentalna. Szach modernizował



© TADEUSZ POŹNIAK

wbrew emocjom większości społeczeństwa, a ten rząd dokonuje modernizacji oczekiwanej społecznie.

Irańczycy też lubili autostrady i elektrownie jądrowe.

Bunt przeciw szachowi był religijny. Gdzie w Polsce jest miejsce na religijny bunt rządzonych przeciw rządzącym? Polacy nie przepadają za rządzeniem w stylu Ajatollaha.

Pan jest bardziej Gowinem próbującym hamować zmianę, Bonim, który by ją zaplanował, popychającym ją Dembskim czy wyczekującym Tuskiem?

Jestem skrajnym pragmatykiem. Żyjemy na peryferiach wielkiej obyczajowej zmiany dotyczącej całego Zachodu. Idee i technologie nie płyną znad Wisły nad Tamizę czy

Potomak, ale raczej odwrotnie. W naszym interesie jest pilnowanie, by nieuchronna zmiana, przychodząc zbyt szybko lub zbyt późno, nie zniszczyła tego, co nam się do tej pory udało. Musimy ją przejść w swoim tempie. Każde przyspieszanie albo spowalnianie historycznie źle się dla nas kończyło z punktu widzenia historii, tożsamości, naszego samopoczucia.

Dwa razy się źle skończyło.

Teraz mamy do rozegrania jedną ważną sprawę. Pewność istnienia.

Jest niepewność?

Lęki dotyczące istnienia narodu, którymi gra prawica, pokazują, że niepewność istnieje. Nasze pokolenie musi po sobie zostawić pewność istnienia. To wymaga własnego sposobu dostosowania się do procesów zachodzących w świecie. ►

► **Mówi pan: nie będziemy gorsi od Anglików, Francuzów, Hiszpanów. Małżeństwa gejowskie będą, ale poczekać?**

Mówię: robienie takiej zmiany w naszej obecnej sytuacji – z tym rządem, z tą opozycją, z tym społeczeństwem – może zaburzyć polską równowagę i otworzyć drogę do władzy ludziom, których rządy mogą Polskę rozchwiać w czasach, kiedy stabilność jest najcenniejszą walutą.

Czyli jest pan bliższy Tuskowi niż Gowinowi?

Nie będąc parlamentarzystą, nie muszę deklarować poglądów w każdej sprawie. A poza tym przypominam, że jestem ministrem rządu Donalda Tuska, a nie Jarosława Gowina.

Próbuję zrozumieć, kim jest mało znany polityk, który został jednym z najważniejszych ministrów.

Przyjąłem propozycję administrowania ważnym obszarem państwa. Będąc administratorem, jestem trochę poza sporami ideowymi czy aksjologicznymi. Z wyjątkiem przekonania, że ten rząd i ta koalicja są teraz optymalnym rozwiązaniem dla Polski.

Dostał pan ten kawałek państwa i co pan w nim znalazł?

Odpowiedzialność. Najważniejszym wyzwaniem jest bezpieczeństwo powszechne. Jesteśmy w piątym roku kryzysu. Radzimy sobie dobrze. Ale co będzie dalej, w 90 proc. zależy od tego, co się zdarzy na zewnątrz. Dla ministra spraw wewnętrznych kluczowe jest podtrzymanie tendencji spadkowej przestępczości podczas kryzysu. Czy jeśli kryzys dotknie nas w większym stopniu, uda się utrzymać ten trend? A jeśli nie, czy to będzie skutek niewydolności podległych mi struktur, czy pękania stabilności społecznej?

I?

Nie ma bezpieczeństwa bez społeczeństwa. Mój poprzednik rozpoczął programy, które pomagają policji zdobywać sojuszników. Znaczenie spójności społecznej wzrosło w trudniejszej sytuacji. A nie wiemy, jaki kolejny Cypr może nas czekać i co może oznaczać dla Polski. Kluczowy będzie styk między społeczeństwem i państwem. A jednym z wielu obszarów kontaktu obywatela z państwem jest policja. Trzeba nad nim pracować.

Wie pan jak?

To się robi, ale za cicho. Kiedy odbywał się słynny marsz obrońców konopi, trwała w Warszawie Noc Profilaktyki. Projekt ten kładzie nacisk na edukację młodzieży w zakresie przeciwdziałania takim patologiom, jak narkomania i przestępczość wśród młodzieży. W ramach projektu policjanci rozmawiają z młodzieżą o zagrożeniach związanych z narkotykami, a młodzi ludzie

opowiadają o swoich spostrzeżeniach i wątpliwościach.

Szkolą tajniaków?

Nie, chodzi o edukację młodzieży oraz spotkania i rozmowy z rodzicami. Na Nocy Profilaktyki w Warszawie było trzy razy więcej osób niż na manifestacji „wolne konopie”. Będziemy takie programy rozbudowywali i nagłaśniali.

Pan jest z Sorosem, Kwaśniewskim, Solaną za zakończeniem wojny narkotykowej i za legalizacją?

Znam tę lewicową narrację.

To był pomysł Milтона Friedmana. Neoliberalny, a nie lewicowy.

Friedman nie pomoże w rozwiązaniu problemów Warszawy czy innych polskich miast. W naszych warunkach idea legalizacji jest błędna. Ale można dyskutować o penalizacji. Stworzyliśmy program współpracy z młodzieżą, żeby bezmyślnie się w tym obszarze nie poruszać.

Więcej się mówi o bezpieczeństwie państwa, czyli głównie o służbach.

Służby to wewnętrzna sprawa państwa. Emocjonują polityków i media, ale w niewielkim stopniu dotyczą wprost zwykłych obywateli. Są po to, żeby państwo było poinformowane i żeby chronić jego tajemnice. Nie dam sobie wmówić, że działanie ABW czy AW przekłada się na poczucie bezpieczeństwa przeciętnego obywatela. Prawica często stawia tu znak równości. Ale to jest celowy błąd diagnostyczny obudowany wieńcem fałszywych przesłanek.

Jest ważne, na ile służby służą, a na ile kręcą swoje lody i czy służą państwu, czy aktualnej władzy. Kiedy się czyta o liczbie podsłuchów – największej w Europie...

Informacje o liczbie podsłuchów budzą emocje. Ale nie dlatego, że tak dużo się w Polsce podsłuchuje, tylko dlatego, że do kategorii uznawanej przez polityków i publicystów za podsłuch, czyli tak zwanych zapytań telekomunikacyjnych, zaliczane są wszystkie prośby o ujawnienie, do kogo należy jakiś numer telefonu. Podsłuchy to jedynie ułamek „zapytań”, ale prawo statystyki ich nie odróżnia. Ta prawda była wielokrotnie publicznie prezentowana, ale nie przebiła się przez media, widocznie silniejsze jest zapotrzebowanie na straszenie opresją służb. Polskie służby nie podsłuchują najczęściej w Europie, podsłuchują dokładnie tyle, ile trzeba, by sprostać obowiązkowi wobec państwa i jego praw.

Za te słowa służby pana pokochają.

Ale obywatele czuliby się lepiej, gdyby wiedzieli, że minister kontrolujący służby trzyma je na krótkiej smyczy.

Na krótkiej smyczy to trzyma się złego psa, proszę ostrożnie z tymi metaforami. Nie ma żadnych oznak, że przez ostatnie pięć lat polskie służby robiły coś złego.

A Brunon K.? Niezrównoważony obywatel i grupa agentów razem z nim budujących intrygę mającą wstrząsnąć Polską?

Skąd pan wie, że służby z nim budowały intrygę?

Z konferencji prasowej. Z wywiadu z pańskim poprzednikiem.

Powinniśmy być wdzięczni służbom za reakcję w tej sprawie. Samotny strzelec jest nocną marą każdej służby odpowiedzialnej za bezpieczeństwo państwa.

Druga mara to manipulowanie opinią publiczną przez służby. A tak to wygląda.

Skąd informacja, że służby razem z tym człowiekiem przygotowywały zamach?

Nikt poza Brunonem K. nie został zatrzymany. ABW potwierdziło udział swoich ludzi. Robienie hysterii wokół tej sprawy, zwoływanie konferencji prasowej, mówienie o zagrożeniu bezpieczeństwa państwa, łagodnie mówiąc, nasuwa przypuszczenie, że ktoś chciał manipulować opinią publiczną.

W polskim prawie jest niezwykle trudno udowodnić zamiar. W tej sprawie wykonano czynności właściwie. Nie tylko żeby uniemożliwić zbrodnię, ale też żeby możliwe było efektywne oskarżenie. Poczekałmy na wyrok sądu.

Pan uważa, że ze służbami wszystko jest w porządku?

Tak. Ale jestem świadomy, że każda ludzka działalność zmierza ku entropii. Sztuka rządzenia polega m.in. na tym, żeby ją hamować, stąd raz na jakiś czas są potrzebne korekty. A efektywność służb jest oceniana przez ich użytkowników – premiera, ministrów, rząd i to w trybie tajemnicy państwowej. I to te opinie są kluczowe, to jest sąd dla służb, czy dobrze działają, a nie medialne sensacje budowane na wątpliwych przesłankach.

Jak się zastawi hałas wokół Brunona K. i ciszę wokół Amber Gold, to sędzia może być zaniepokojony.

I dał temu wyraz. W tym momencie trwa procedura powoływania nowego szefa ABW. Jak będzie nowy szef, wspólnie dokonamy przeglądu kompetencji służb i przeprowadzimy zmiany, jeśli będą potrzebne.

Kiedy jak lew broni pan służb przed krytyką, mimowolnie potwierdza pan zarzut opozycji, że służby będzie nadzorował człowiek ze służb.

Czy przeszczość w służbach ma eliminować ze sprawowania funkcji publicznych? Premier uznał, że nie. Patrząc na biografię niektórych posłów opozycji, mam wrażenie, że nie jest w tym przekonaniu odosobniony.

To dobrze?

Nie widzę w tym nic złego, a wręcz przeciwnie – daje to możliwość odcza-

rowania niektórych mitów. I tak na przykład po 11 września 2001 r. na całym świecie służby nabrały uprawnień pod hasłem walki z terroryzmem. Ktoś, kto zna służby, zdaje sobie sprawę, że nie wszystkie te uprawnienia są niezbędne w takiej skali.

Na przykład?

Zbieranie tylu danych osobowych. Tylko że trzeba dbać o równowagę. Co z tego, że państwo ograniczy swoje uprawnienia, jeżeli gdzie indziej, poza państwem, będą one puchły? Problem z wolnością i prawami obywatelskimi dawno przestał być skoncentrowany na linii państwo-obywatel. Bardziej istotny jest dziś w relacji obywatel-sektor prywatny. Prawo do prywatności jest nie tylko prawem obywatela, ale też konsumenta. To trzeba regulować symetrycznie. Wiem, że służby nie muszą wiedzieć wszystkiego o każdym, żeby nie przeoczyć jakiegoś Brunona K.

Ale nie pozwolę, żeby państwo ograniczało swój dostęp do informacji, kiedy równocześnie portale społecznościowe potrafią wiedzieć więcej o swoich użytkownikach i ich życiu prywatnym niż najlepsza służba specjalna.

To jakiś antykapitalistyczny ton.

Jesteśmy w trakcie wielkiej rewolucji, która radykalnie zmienia sytuację obywateli. To nie państwo jest coraz częstszym wyzwaniem dla wolności. Państwo będzie musiało bronić obywateli przed ograniczaniem ich praw do prywatności nadchodzącym ze struktur komercyjnych, często ponadnarodowych.

Odważnie jak na ministra. Tylko czy ta odwaga znajdzie siłę, by się spełnić?

Tukidydes uczył, że w polityce na końcu zawsze jest pytanie o siłę. Będę się starał ją znaleźć, by przeprowadzić zmiany w tym obszarze, a także znaleźć sojuszników.

A rosnąca siła nacjonalistów, którą ostatnio zauważył premier, to katar czy cholera?

To w dużej mierze zależy od społecznej reakcji. Na stadionach nie wolno zasłaniać twarzy. A na uniwersytetach wolno. Chociaż fundamentem debaty jest jawna tożsamość uczestników. Z człowiekiem zamaskowanym nie można debatować. Uniwersytety miały przekonanie, że debaty publicznej się nie reguluje, bo to jest jak oddychanie. A to nie jest oddychanie. To jest kultura.

Nie można zabronić małych masek na uniwersytecie.

Warunkiem obecności na uniwersytecie powinna być gotowość występowania z odsłoniętą twarzą. Tego nie można wymusić ustawą. To muszą regulować same uniwersytety w ramach autonomii, którą posiadają.

Te incydenty to na razie katar. Ale może się zrobić cholera, jeżeli wszyscy będą się oglądali na państwo i policję. Jak zabraknie reakcji społecznych, odru-

chów obywatelskich, poczucia wspólnoty wartości, to za jakiś czas państwo może być bezradne.

Jest dość bezradne.

To pana zdanie. Może powinniśmy sobie powiedzieć – co trafnie opisał Dariusz Gawin – że demokracja liberalna ma immanentny problem z rodziną, Kościołem i uniwersytetem. Bo one rządzą się zasadą hierarchii, a nie równoprawności. W Sejmie każdy głos ma taką samą wagę. A w rodzinie, Kościele, na uniwersytecie o wadze głosu decyduje hierarchia. Uniwersytet nie ma obowiązku być pluralistyczny w tym sensie, co parlament. Nie każdy pogląd tam musi mieć tę samą wagę i prawo do ekspresji. I nie liczebność się liczy, ale kompetencja.

Część młodego pokolenia ma poglądy, których się z liberalną demokracją pogodzić nie daje. Mówią to otwarcie. Nie tylko, kiedy założą małe maski.

Dla państwa to jeszcze nie jest problem. Ale może być. Ryzyko w zwrocie społecznym dewastującym centrum.

Platformę?

Polityczną przestrzeń w ogóle. W Polsce od kilkunastu lat politykę stabilizują jakieś mniej więcej dwa miliony wyborców, którzy raz głosują na lewicę, raz na prawicę i zwykle rozstrzygają o wynikach wyborów. Oni nie są platformerscy ani pisowscy i dawniej nie byli awuesowscy ani eseldowscy. Zawsze odprawiają rządy, które się nie sprawdziły, i dają szansę tym, co do których mają domniemanie, że mogą się sprawdzić. Cud względnej stabilności zawdzięczamy tej grupie, która raz wybiera centroprawicę, raz centrolewicę, ale zawsze centrum. A ekstremizm może powodować erozję tej grupy, ściśnięcie jej w kleszczach poglądów skrajnych.

Już jest ściskana?

Raczej nie. To są jeszcze zjawiska wysoce, środowiskowe. Nie mają swojej reprezentacji politycznej.

Mają sojuszników.

Gdyby ekstremiści zdobyli reprezentację parlamentarną korzystającą z liberalno-demokratycznych osłon, zrobiłoby się groźnie dla wszystkich. Do tego nam jeszcze daleko. Ale incydentów może oczywiście przybywać.

Służby te środowiska inwigilują tak jak ekologów?

Służby nie inwigilują. Służby robią to, co do nich należy.

Służby nie zapobiegły atakom na squaty, na które naziole skrzykiwali się w Internecie, natomiast ostentacyjnie inwigilują np. Radosława Gawlika, pana kolegę z podziemia, byłego posta i działacza ekologicznego.

O tym nie słyszałem.

A słyszał pan o zadymach planowanych na 10 kwietnia i 11 listopada, kiedy do Warszawy przyjedzie ponad stu

ministrów od środowiska oraz tysiące ekologów ze świata?

Ministrowie mają przyjechać później, natomiast ekolodzy już będą na Stadionie Narodowym i w okolicach Pałacu Kultury. Ich oś działania będzie się przecinała z tradycyjnymi trasami pochodów. Logistycznie i porządkowo to duża operacja, ale im bliżej będziemy tej daty, tym mniej będzie powodów do niepokoju.

Bardziej się pan boi 10 kwietnia?

W ogóle się nie boję.

Obserwując mobilizację prawicy, nie sądzi pan, że to może być coś więcej niż do tej pory?

Dotąd te demonstracje nie wymykały się spod kontroli organizatorów. Nie przypominały Marszów Niepodległości. Minister spraw wewnętrznych ma zapewnić porządek. I to robi.

Z pana eseju w „Tygodniku Powszechnym” wynotowałem zdanie, które dziś nabrało znaczenia: „Rządzić w Polsce oznacza piekielny wybór – albo wyrzec się ambicji trwania przy władzy i podjąć aktywne działania, z oczywistym finałem w postaci spektakularnej przegranej, albo trwać, niczego nie ruszając, bo poruszenie dowolnej cegiełki systemu obarczone jest ryzykiem zawałenia się całości”. Co szef MSW pocznie z taką świadomością?

Miałby pan powód do niepokoju, gdybym to napisał, będąc szefem MSW.

Minister odcina się od eseisty?

Nie. Diagnoza jest prawdziwa, ale na poziomie o wiele wyższym niż MSW. Słysząc niezadowolenie z konstytucji, jakości prawa, demokracji. Wraca wezwanie do radykalnej przebudowy państwa, jakby w wielkiej zmianie wszystkiego kryła się cudowna recepta. To niebezpieczne złudzenie.

Nie tęskni pan za Janem Rokitą i IV RP?

W sprawie reformowania państwa Janek się nie zmienił, a ja się zmieniłem. Jestem przeciw grze o wszystko. W krajach takich jak Polska programy wielkiej rewolucji moralnej i wielkiej zmiany ustrojowej zawsze kończyły się źle. Bo dewastują nawet niewielkie dobro, które się udało uciuć. Znowu nie mielibyśmy nic. Także żadnego znaczenia na mapie wpływow i siły. I trzeba by ciuć od początku.

Lepszy wróbel w garści...

Absolutnie tak. Bo problemem naszego kręgu kulturowego nie jest kryzys finansowy czy społeczny, ale zakręt cywilizacyjny, któremu te kryzysy towarzyszą jako jedno z objawów. Przy takiej niepewności rozpoczęcie w Polsce gry o wszystko byłoby katastrofą. Garnitur państwa jest daleki od doskonałości. Dobrze by było go zmienić na lepszy. Ale żeby założyć nowy, trzeba zdjąć stary. A wieje chłodem i prawdziwy mróz może przyjść w każdej chwili. Człowiek rozsądny nie rozbiera się na mrozie.

ROZMAWIAŁ JACEK ŻAKOWSKI

Maleje, żeby urosnąć



Leszek Miller chciałby wrócić do ekstraklasy polskiej polityki. Na razie urzędują pokazy siły. Dlatego z SLD musiał odejść Ryszard Kalisz.

JANINA PARADOWSKA

W opozycji jest się dlatego, aby przestać być w opozycji – powtarza często Miller. Wielu podejrzewa, że jest to główny motyw działania szefa SLD, który za wszelką cenę chciałby wejść w koalicję z Platformą Obywatelską i zostać wicepremierem w rządzie Tuska. Tylko szabel dziś brakuje. A czy będą w przyszłości?

Leszek Miller nie ma łatwego czasu, chociaż styl, w jakim wrócił do polityki po głębokim załamaniu, budzi respekt nawet u jego przeciwników. Warto przytoczyć choćby opinię Ludwika Dorna ze świątecznego wydania „Polska The Times”: „To jedyny znany mi przykład politycznego zombie, który powrócił do życia, ale przed nim trudne zadanie: uregulowanie kwestii sukcesji w SLD i wychowanie rzeszy następców”. Jeśli zdoła tego dokonać – uważa Dorn – to przejdzie do historii lewicy. Z Dornem współbrzmia Andrzej Celiński. W styczniu na łamach „Rzeczpospolitej” napisał: „Leszka Millera, jednego z największych polityków minionego dwudziestolecia trzymają w kleszczach mali ludzie, a on woli karleć, niż walczyć”. Celiński chciałby walki o wielkie lewicowe idee, z którymi, nawiasem mówiąc, cała europejska lewica ma dziś problem, a Miller musi „karleć”, aby zmagać się z codziennością polskiej polityki.

Te zmagania Millera obserwujemy od kilku miesięcy, od chwili gdy – po latach błędów niezrozumiałych jak na polityka tak doświadczonego (start do Sejmu z list Samoobrony, próby zakładania własnej partii) – wrócił na fotel szefa SLD. Jako ostatnia deska ratunku przed zupełną degradacją partii, do czego doprowadziła „młodzieżówka” Grzegorza Napieralskiego, kochająca PR i kompletnie wyżyta programowych treści.

Sam wybór Millera na szefa partii podniósł notowania SLD, ale potem, jak powszechnie uznano, uderzył głową sufit – 10 proc. poparcia, w porównaniu do 15, to za mało na poważny udział we władzy. I właściwie nic nie pomagało i nadal nie pomaga: ani wspólne odśpiewanie z Piotrem Dudą frazy „a mury runą” i powrót do ścisłego sojuszu ze związkami zawodowymi, ani walka z podwyższeniem wieku emerytalnego, ani mnożenie postulatów socjalnych, w tym podniesienia płacy minimalnej.

Nie pomagało odżegnywanie się od własnej przeszłości, czyli okresu względnie liberalizmu. Wtedy jako premier obniżał stawkę podatku dla przedsiębiorców i nawet głośno mówił o podatku liniowym, a teraz woła, że tylko podatek progresywny z wysoką stawką dla najzamożniejszych jest sprawiedliwy. Nie pomaga nawet nieprzejednana postawa wobec PiS. Tu Leszek Miller pozostaje najbardziej w całej polskiej polityce konsekwentny, bardziej niż Platforma czy kluczące PSL.

Bo Miller w pewnych sprawach bywa pryncypialny i ma charakter. I to docenia wielu. Nie jest tajemnicą, że szanuje go premier Donald Tusk, a Miller zwyczajnie Tuska lubi, a momentami podziwia. On, kiedyś żelazny kanclerz, nie boi się powiedzieć (w książce wywiadzie, jaki przeprowadził z nim Rober Krasowski), że „żaden premier z wyjątkiem Tuska szczególnie mi nie zaimponował, włącznie z samym sobą, bo przecież wiem, ile rzeczy mogłem zrobić lepiej”. Jest zresztą Leszek Miller rzadkim w naszym życiu publicznym politykiem, który